

Gdy poczucie bezpieczeństwa jest tylko złudzeniem...

TESS GERRITSEN

Ostatni, który
umrze



Rozdział pierwszy

Tej nocy, gdy trzynastoletnia Claire Ward powinna była umrzeć, stała na parapecie okna na drugim piętrze w swojej sypialni w miasteczku Ithaca, zastanawiając się, czy skoczyć. Sześć metrów niżej rosły splątane krzaki forsycji, kwiaty dawno już przekwitły. Zamortyzowałyby jej upadek, ale zapewne miałyby połamane kości. Spojrzała na klon, na solidny konar, wygięty w łuk zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od niej. Nigdy dotąd nie próbowała takiego skoku, bo nie musiała. Do tego wieczoru udawało jej się wymykać niepostrzeżenie frontowymi drzwiami. Ale noce łatwych ucieczek się skończyły, bo Nudny Bob się na nią uwziął. „Od teraz, młoda damo, będziesz siedziała w domu! Koniec z bieganiem po mieście po zmroku jak dzika kotka”.

Jeśli skacząc, skręcę kark, pomyślała, to będzie wina Boba.

Tak, ten konar klonu jest zdecydowanie w jej zasięgu. Musi odwiedzić parę miejsc, spotkać się z kilkoma osobami i nie mogła tkwić tutaj wiecznie, oceniając swoje szanse.

Skuliła się, przyczajona do skoku, lecz nagle zamarła, gdy za rogiem rozbłysły światła nadjeżdżającego samochodu. Luksusowy SUV prześlizgnął się jak czarny rekin pod jej oknem i jechał powoli pustą ulicą, jakby w poszukiwaniu jakiegoś konkretnego domu. Nie naszego, pomyślała. W rezydencji jej przybranych rodziców, Nudnego Boba i Równie Nudnej Barbary Buckley, nigdy nie pojawiały się interesujące osoby. Nawet ich nazwiska były nudne, nie wspominając o rozmowach przy kolacji. „Jak ci minął dzień, kochanie?”. „A tobie?”. „Robi się ładna pogoda, prawda?”. „Możesz mi podać ziemniaki?”.

W ich przyziemnym, książkowym świecie Claire była obcym przybyszem, dzikusiem, którego nigdy nie zrozumieją, chociaż się starali. Naprawdę się starali. Powinna mieszkać z artystami, aktorami albo muzykami, ludźmi, którzy prowadzą nocne życie i potrafią się bawić. Ludźmi takimi jak ona.

Czarny samochód zniknął. Musi zrobić to teraz.

Odetchnęła głęboko i skoczyła. Przecinając mrok, czuła w długich włosach świszczący powiew nocnego powietrza. Wylądowała miękko jak kot, a konar zadrżał pod jej ciężarem. Łatwo poszło. Opuściła się na niższą gałąź i już miała zeskoczyć na ziemię, gdy znów pojawił się czarny samochód i przemknął z warkotem silnika. Obserwowała go, aż zniknął za rogiem. Potem zeskoczyła na mokrą trawę.

Spojrzała w kierunku domu, spodziewając się, że Bob wypadnie jak burza przez frontowe drzwi i zacznie na nią

wrzeszczyć: „Natychmiast wracaj, młoda damo!”. Ale ganek pozostał ciemny.

Teraz może zacząć się noc.

Zasunęła zamek bluzy z kapturem i ruszyła w kierunku podmiejskich błoni, gdzie coś się działo — o ile można to tak określić. Z powodu późnej pory ulica była pusta, a okna w większości ciemne. Dzielnicę tę, z willami przypominającymi bajkowe domki z piernika, zamieszkiwali profesorowie uniwersytetu i mamusie weganki na bezglutenowej diecie, należące do klubów czytelniczych. „Dziesięć mil kwadratowych, które otacza rzeczywistość” — jak czule mawiał o tym mieście Bob, ale on i Barbara do niego należeli.

Claire nie wiedziała, gdzie jest jej miejsce.

Przeszła przez ulicę, roztrącając zdartymi butami zeschnięte liście. Przecznicę dalej stała w świetle ulicznej latarni trójka nastolatków, dwóch chłopaków i dziewczyna, paląc papierosy.

— Hej! — zawołała do nich.

Wyższy chłopak pomachał.

— Cześć, Claire. Podobno znów cię uziemili.

— Na jakieś trzydzieści sekund. — Wzięła od niego zapalony papierosa, zaciągnęła się głęboko i z radosnym westchnieniem wypuściła dym. — Więc jakie mamy plany na wieczór? Co robimy?

— Słyszałem, że jest impreza przy wodospadzie. Ale musimy jakoś tam dojechać.

— A twoja siostra? Mogłaby nas podrzucić.

— Nie, tata zabrał jej kluczyki od wozu. Pokręcmy się tu

trochę, zobaczymy, kto jeszcze się pojawi. — Chłopak zamilkł, nieruchomiejąc obok Claire. — No, no, zobacz, kogo tu mamy.

Claire odwróciła się i jęknęła, gdy zatrzymał się koło niej przy krawężniku ciemnoniebieski saab.

— Claire, wsiadaj do samochodu — powiedziała Barbara Buckley zza opuszczonej szyby po stronie pasażera.

— Jestem z przyjaciółmi.

— Już prawie północ, a jutro idziesz do szkoły.

— Przecież nie robię nic nielegalnego.

— Natychmiast wsiądź do auta, młoda damo! — odezwał się Bob Buckley rozkazującym tonem.

— Nie jesteście moimi rodzicami!

— Ale za ciebie odpowiadamy. Mamy obowiązek wychować cię jak należy i to właśnie staramy się robić. Jeśli nie wrócisz z nami do domu... będą konsekwencje.

Tak się boję, że aż się trzęsę. Zaczęła się śmiać, ale nagle zauważyła, że Barbara ma na sobie płaszcz kąpielowy, a Bobowi z jednej strony sterczą włosy. Tak bardzo się spieszyli, żeby ruszyć za nią w pogoń, że nawet nie zdążyli się ubrać. Oboje wyglądali na starszych i bardziej zmęczonych niż zazwyczaj. Byli parą zaspanych ludzi w średnim wieku, których wyrwano z łóżka i którzy z jej powodu obudzą się jutro niewyspani.

Barbara westchnęła ciężko.

— Wiem, że nie jesteśmy twoimi rodzicami, Claire. Wiem, że nie lubisz z nami mieszkać, ale staramy się jak możemy. Więc proszę, wsiądź do samochodu. Tu nie jesteś bezpieczna.

Claire posłała przyjaciółom zrozpaczone spojrzenie, po czym wskoczyła na tylne siedzenie saaba i zatrzasnęła drzwiczki.

— W porządku? — spytała. — Zadowoleni?

Bob spojrział na nią.

— Tu nie chodzi o nas. Chodzi o ciebie. Przyrzekliśmy twoim rodzicom, że zawsze będziesz pod dobrą opieką. Gdyby Isabel żyła, bardzo by cierpiała, zobaczywszy cię teraz. Pozbawioną kontroli, wciąż zbuntowaną. Claire, dostałaś drugą szansę i to jest dar. Proszę, nie odrzucaj go. — Westchnął ciężko. — Zapnij pas, dobrze?

Gdyby był zły, gdyby na nią krzyczał, poradziłaby sobie z tym. Ale patrzył na nią z takim smutkiem, że czuła się winna. Była kretynką, odpłacając buntem za ich dobroć. Buckleyowie nie są winni, że jej rodzice zginęli. Że ma spaprane życie.

Gdy ruszyli, skuliła się na siedzeniu, skruszona, ale zbyt dumna, by się usprawiedliwiać. Jutro będę dla nich miłsza, pomyślała. Pomogę Barbarze nakryć do stołu, może nawet umyję Bobowi auto. Bo, do diabła, już najwyższy czas je umyć.

— Bob — odezwała się Barbara — co tam robi ten samochód?

Rozległo się wycie silnika. Zobaczyli pędzące w ich kierunku światła reflektorów.

— Bob! — krzyknęła Barbara.

Siła uderzenia rzuciła Claire na pas bezpieczeństwa. Noc

ekspłodowała potwornymi odgłosami. Tłuczonego szkła. Zgniatanej stali.

Ktoś krzyczał i jęczał. Otworzyła oczy i zobaczyła, że świat wywrócił się do góry nogami, i zdała sobie sprawę, że to ona jęczy.

— Barbaro? — wyszeptała.

Usłyszała stłumiony odgłos wystrzału, potem kolejny. Poczula zapach benzyny. Wisiała na pasie bezpieczeństwa, który wbijał się tak mocno w jej zębra, że z trudem oddychała. Wcisnęła po omacku klamrę. Pas rozpiął się i spadła głową w dół, czując w karku przenikliwy ból. Zdołała się jakoś odwrócić, tak że leżała płasko, mając przed oczami roztrzaskaną szybę. Zapach benzyny był coraz intensywniejszy. Zaczęła pełznąć w kierunku okna, myśląc o płomieniach, piekielnym żarze i ciele palącym się na jej kościach. Wydostań się stąd! Póki jeszcze jest czas, by uratować Boba i Barbarę! Rozbiła pięścią ostatnie odłamki szkła, rozsypując je z brzękiem na jezdni.

Zobaczyła przed sobą czyjeś stopy. Podniósłszy wzrok, ujrzała mężczyznę, który zastąpił jej drogę ucieczki. Nie widziała jego twarzy, tylko sylwetkę. I broń.

Usłyszała pisk opon pędzącego w ich kierunku samochodu.

Wpełzła do saaba, niczym żółw kryjący się w bezpiecznej skorupie. Skulona jak najdalej od okna, zasłaniała głowę rękami, zastanawiając się, czy tym razem kula sprawi jej ból. Czy poczuje, jak eksploduje w jej czaszce. Skurczyła się tak, że słyszała tylko swój oddech i pulsowanie krwi.

Z trudem dotarło do niej, że ktoś ją woła.

— Claire Ward?! — Był to głos kobiety.

Chyba nie żyję. A to jest anioł, który do mnie przemawia.

— Jego już nie ma. Możesz bezpiecznie wyjść — oznajmił anioł. — Ale musisz się pospieszyć.

Claire otworzyła oczy i spojrzała przez palce na twarz widoczną w rozbitym oknie. Gdy szczupłe ramię wyciągnęło się w jej stronę, dziewczynka znów się skuliła.

— On wróci, więc się pospiesz — powiedziała kobieta.

Claire chwyciła wyciągniętą dłoń i kobieta wydobyła ją na zewnątrz. Potłuczone szkło grzechotało jak grad, gdy Claire wytoczyła się na jezdnię. Usiadła zbyt szybko i noc zawirowała wokół niej. Dostrzegła jak przez mgłę przewróconego saaba i musiała opuścić głowę.

— Możesz wstać?

Claire podniosła powoli wzrok. Kobieta była ubrana na czarno. Blond włosy związała w koński ogon, a ich kosmyki były na tyle jasne, że odbijały słabe światło ulicznej latarni.

— Kim pani jest? — wyszeptała Claire.

— Nie ma znaczenia, jak się nazywam.

— Bob... Barbara... — Claire spojrzała na przewróconego saaba. — Musimy wydostać ich z samochodu! Niech mi pani pomoże! — Podczołgała się do drzwiczek od strony kierowcy i otworzyła je mocnym szarpnięciem.

Bob Buckley wypadł na jezdnię. Miał otwarte, niewidzące oczy. Claire wpatrywała się w otwór po kuli na jego skroni.

— Bob — jęknęła. — Bob!

— Nie możesz mu pomóc.

— A Barbara?... Co z Barbarą?

— Za późno. — Kobieta chwyciła ją za ramiona i mocno potrząsnęła. — Oni nie żyją, rozumiesz? Oboje nie żyją.

Claire pokręciła głową, wciąż wpatrując się w Boba. W kałużę krwi, rozlewającą się jak ciemna aureola wokół jego karku.

— To nie może dzieć się naprawdę — wyszeptwała. — Nie po raz drugi.

— Chodź, Claire. — Kobieta wzięła ją za rękę i pomogła wstać. — Chodź ze mną. Jeśli chcesz żyć.

Rozdział drugi

Tej nocy, gdy czternastoletni Will Yablonski powinien był umrzeć, stał w ciemnościach na polu w New Hampshire, wypatrując kosmitów.

Zgromadził cały niezbędny do ich tropienia sprzęt. Miał dziesięciocalowy teleskop Dobsona, który zrobił własnoręcznie trzy lata temu, gdy miał zaledwie jedenaście lat. Zajął mu to dwa miesiące. Początkowo formował, wygładzał i polerował szkło gruboziarnistym papierem ściernym, potem coraz delikatniejszym. Z pomocą taty zastosował montaż azymutalny. Dwudziestopięciomilimetrowy okular Plössla dostał w prezencie od wuja Briana, który po kolacji, gdy tylko niebo było przejrzyste, pomagał mu wyciągać cały ten sprzęt na pole. Ale wuj Brian był typem skowronka, nie sowy, i przed dwudziestą drugą zawsze stwierdzał, że jest już późno, i szedł spać.

Tak więc Will stał samotnie na polu za wiejskim domem

ciotki i wuja, jak robił to prawie każdej nocy, gdy niebo było czyste i nie świecił księżyc, i wypatrywał na niebie puszystych kul z kosmosu, zwanych inaczej kometami. Gdy odkryje kiedyś nową kometa, wie, jak ją nazwie: kometa Neila Yablonskiego, na cześć swojego zmarłego ojca. Astronomowie amatorzy wciąż odkrywają nowe komety, dlaczego nie miałyby dokonać tego czternastolatek? Tata powiedział mu kiedyś, że potrzeba tylko poświęcenia, wprawnego oka i dużo szczęścia. „To jest jak poszukiwanie skarbów, Will. Wszechświat przypomina plażę, a gwiazdy są ziarenkami piasku, które ukrywają to, czego szukasz”.

Willowi poszukiwanie skarbów nigdy się nie znudziło. Wciąż czuł takie samo podniecenie, gdy z wujem Brianem wyciągali z domu sprzęt i ustawiali go pod ciemniejącym niebem, zawsze oczekiwał, że może tej nocy odkryje Kometa Neila Yablonskiego. Nagrodziłoby to cały jego trud, niezliczone godziny nocnego czuwania, gdy wzmacniał się gorącą czekoladą i batonikami. Zrekompensowałoby nawet zniewagi, jakich doznawał od dawnych szkolnych kolegów w Marylandzie: Grubas. Piankowy Marynarzyk.

Tropienie komet nie sprzyjało temu, by być opalonym i szczupłym.

Tej nocy, jak zwykle, zaczął swoje poszukiwania tuż po zmierzchu, bo komety były najlepiej widoczne zaraz po zachodzie słońca lub przed wschodem. Ale słońce zaszło przed wieloma godzinami, a on nadal nie dostrzegł żadnych puszystych kul. Zobaczył kilka przelatujących satelitów i świecących

przez chwilę meteorytów, ale niczego, czego nie widziałby wcześniej w tym sektorze nieba. Obrócił teleskop w kierunku innego sektora i w polu widzenia pojawiła się dolna gwiazda Canes Venatici. Polujące Psy. Pamiętał noc, gdy ojciec wymienił tę nazwę. Zimną noc, gdy obaj nie spali do świtu, popijając gorący napój z termosu i coś podjadając...

Nagle wyprostował się i odwrócił. Co to za hałas? Jakież zwierzę czy tylko wiatr w gałęziach drzew? Stał nieruchomo, nasłuchując, ale noc zrobiła się nienaturalnie cicha, tak cicha, że wyraźnie słyszał własny oddech. Wuj Brian zapewniał go, że w tych lasach nic mu nie grozi, ale stojąc samotnie w ciemnościach, Will wyobrażał sobie różne stwory z ostrymi zębami. Czarne niedźwiedzie. Wilki. Pумы.

Wrócił zaniepokojony do teleskopu i zmienił pole obserwacji. Nagle w samym centrum obrazu pojawiła się mglista kula. Znalazłem ją! Kometa Neila Yablonskiego!

Nie, nie, głupcze, to nie kometa. Westchnął rozczarowany, zdawszy sobie sprawę, że patrzy na gromadę kulistą M3. Rozpoznałby ją każdy szanujący się astronom. Dzięki Bogu, że nie obudził wuja Briana, by mu ją pokazać. To byłoby żenujące.

Trzask gałązki sprawił, że znów się odwrócił. Coś poruszało się wśród drzew. Coś tam musiało być.

Eksplozja wyrzuciła go do przodu. Upadł twarzą na wyścieloną darnią ziemię i leżał, oszołomiony uderzeniem. Dostrzegł błysk światła, potem coraz większą jasność. Podniósł głowę i zobaczył, że kępa drzew lśni pomarańczową łuną. Czuł na karku ciepło, jak oddech potwora. Odwrócił się.

Dom stał w ogniu, płomienie strzelały w górę jak szpony.

— Wujku Brianie! — krzyczał Will. — Ciociu Lynn!

Pobiegł w stronę domu, ale ściana ognia zagroziła mu drogę, a żar zmusił do odwrotu, żar tak intensywny, że paliło go w gardle. Cofnął się na chwiejnych nogach, krztusząc się i czując swąd swoich przypalonych włosów.

Sprowadź pomoc! Sąsiadów! Skierował się na drogę i przebiegłszy dwa kroki, stanął.

W jego stronę szła jakaś kobieta. Była ubrana na czarno i smukła jak pantera. Jasne włosy związała w koński ogon, a migocące płomienie ognia wydobywały ostre kontury jej twarzy.

— Niech mi pani pomoże! — krzyknął. — Moja ciocia i wujek są w środku!

Spojrzała na dom trawiony płomieniami.

— Przykro mi. Dla nich jest już za późno.

— Wcale nie! Musimy ich uratować!

Pokręciła smutno głową.

— Nie mogę im pomóc, Will. Ale mogę ocalić ciebie. — Wyciągnęła do niego rękę. — Chodź ze mną. Jeśli chcesz żyć.

Rozdział trzeci

Niektórym dziewczynom ładnie w różowym. Lubią stroić się w kokardy i koronki, szeleścić jedwabnymi taftami i wyglądać czarująco i kobieco.

Jane Rizzoli do nich nie należała.

Stała w sypialni matki, spoglądając na swoje odbicie w dużym lustrze, i myślała: Zastrzelcie mnie. Zastrzelcie mnie od razu.

Sukienka w kształcie dzwonu, w kolorze różowej gumy do żucia, miała kryzę szeroką jak kołnierz klauna, a na dole rzędy groteskowych marszczeń. W talii przewiązana była szarfą z ogromną różową kokardą. Nawet Scarlett O'Hara byłaby wstrząśnięta.

— Och, Janie, spójrz na siebie! — wykrzyknęła Angela Rizzoli, klaszcząc z zachwytem. — Jesteś taka piękna, odbierzesz mi widownię. Czyż nie wyglądasz cudownie?

Jane zamruwała, zbyt oszołomiona, by cokolwiek powiedzieć.

— Oczywiście musisz mieć wysokie obcasy, by wszystko pasowało. Satynowe szpilki, jak sądzę. Do tego bukiet z różowych róż i gipsówki. Czy to zbyt staromodne? Myślisz, że powinnam wybrać modniejsze kalie czy coś takiego?

— Mamo...

— Będę musiała zwęzić ci ją trochę w talii. Jakim cudem schudłaś? Za mało jesz?

— Mówisz poważnie? Chcesz, żebym to włożyła?

— O co ci chodzi?

— Ona jest... różowa.

— I wyglądasz w niej pięknie.

— Widziałaś mnie kiedykolwiek w czymś różowym?

— Szyję taką samą sukienkę dla Reginy. Będziecie ślicznie razem wyglądały! Mama i córka w jednakowych sukienkach!

— Reginie jest w niej ślicznie. Mnie stanowczo nie.

Angeli zaczęła drżeć warga. Był to znak równie złowróźbny, jak pierwsze drgnięcie ostrzegawczej tarczy reaktora jądrowego.

— Pracowałam nad tą sukienką przez cały weekend. Wykonałam własnoręcznie każdy szew, każde marszczenie, a ty nie chcesz jej włożyć nawet na moje wesele?

Jane z trudem przełknęła ślinę.

— Tego nie powiedziałam. Niezupełnie.

— Widzę to po twojej twarzy. Nie podoba ci się.

— Nie, mamo, to wspaniała sukienka, ale pieprzonej Barbie.

Angela opadła na łóżko, wzdychając jak umierająca bohaterka sztuki.

— Wiesz, może Vince i ja powinniśmy pobrać się potajemnie? Wszyscy byliby szczęśliwsi, prawda? Nie musiałabym borykać się z Frankiem. Nie musiałabym się martwić, kogo umieścić na liście gości, a kogo nie. A ty nie musiałabyś wkładać sukienki, której nie cierpisz.

Jane usiadła na łóżku obok niej, a tafta wyduła się na jej kolanach jak wielka kula waty cukrowej. Przyklepała ją ręką.

— Mamo, jeszcze się nawet nie rozwiodłaś. Masz mnóstwo czasu, żeby wszystko zaplanować. Na tym polega cała przyjemność wesela, nie sądzisz? Nie musisz z niczym się spieszyć. — Podniosła wzrok, słysząc dźwięk dzwonka u drzwi.

— Vince jest niecierpliwy. Wiesz, co mi powiedział? Że chce nabyć prawa do swojej narzeczonej. Czyż to nie słodkie? Jak w tej piosence Madonny: *Znów czuję się dziewczicą*.

Jane zerwała się z łóżka.

— Otworzę drzwi.

— Powinniśmy pobrać się w Miami! — krzyknęła Angela, gdy Jane wyszła z sypialni. — Byłoby o wiele prościej. I taniej, bo nie musiałabym żywić całej rodziny!

Jane otworzyła drzwi. W progu stali dwaj mężczyźni, których w ten niedzielny poranek w ogóle nie miała ochoty oglądać.

Jej brat Frankie roześmiał się, wchodząc do domu.

— Jak tam twoja brzydka sukienka?

Jej ojciec, Frank senior, wszedł za nim, oznajmiając:

— Chcę pomówić z twoją matką.

— Tato, to nie jest odpowiednia pora — powiedziała Jane.
— Jak najbardziej. Gdzie ona jest? — spytał, rozglądając się po salonie.

— Nie sędzę, żeby chciała z tobą rozmawiać.

— To konieczne. Musimy położyć kres temu szaleństwu.

— Szaleństwu? — powtórzyła Angela, wyłaniając się z sypialni. — I kto to mówi!

— Frankie twierdzi, że się zdecydowałaś — rzekł ojciec Jane. — Naprawdę zamierzasz wyjść za tego człowieka?

— Vince mi się oświadczył. Zgodziłam się.

— A co z tym, że nadal jesteśmy małżeństwem?

— To tylko kwestia papierów.

— Nie zamierzam niczego podpisywać.

— Co?

— Powiedziałem, że nie podpiszę żadnych papierów. A ty nie wyjdiesz za tego faceta.

Angela zaśmiała się z niedowierzaniem.

— To ty mnie rzuciłeś.

— Nie sądziłem, że odwrócisz się ode mnie i zechcesz wyjść za mąż!

— A co mam robić? Siedzieć i usychać z tęsknoty, gdy zostawiłeś mnie dla niej? Jestem jeszcze młoda, Frank! Mężczyźni mnie pożądamy. Chcą ze mną sypiać!

Frankie jęknął.

— Chryste, mamoo...

— I wiesz co? Nigdy nie miałam lepszego seksu! — dodała Angela.

Jane usłyszała, że w sypialni dzwoni jej komórka. Zignorowała to i złapała ojca za ramię.

— Chyba powinienes wyjść, tato. Chodź, odprowadzę cię.

— Cieszę się, że mnie zostawiłeś, Frank — oznajmiła Angela. — Odzyskałam swoje życie i wiem, co znaczy być docenianą.

— Jesteś moją żoną. Nadal należysz do mnie.

Komórka Jane, która na chwilę zamilkła, znowu się odezwała, i trudno było dłużej ją ignorować.

— Frankie — powiedziała błagalnym tonem — na Boga, pomóż mi! Zabierz go stąd.

— Chodź, tato — powiedział Frankie, poklepując ojca po plecach. — Napijemy się piwa.

— Jeszcze nie skończyłem.

— Owszem — stwierdziła Angela.

Jane popędziła do sypialni i wyjęła z torebki komórkę. Starając się nie zwracać uwagi na dobiegające z korytarza odgłosy kłótni, rzuciła: „Rizzoli”.

Dzwonił detektyw Darren Crowe.

— Potrzebujemy cię. Jak szybko możesz tu dotrzeć? — Żadnych uprzejmych wstępów, żadnego „proszę” ani „czy zechciałabyś”, cały czarujący Crowe.

Odparła równie opryskliwie:

— Nie mam dyżuru.

— Marquette sprowadza trzy ekipy. Ja kieruję dochodzeniem. Frost właśnie się zjawił, ale przydałaby nam się kobieta.

— Czy dobrze usłyszałam? Naprawdę powiedziałeś, że potrzebujesz pomocy kobiety?

— Posłuchaj, nasz świadek jest zbyt zaszokowany, by cokolwiek nam powiedzieć. Moore próbował już rozmawiać z tym dzieciakiem, ale uważa, że ty lepiej sobie poradzisz.

„Dzieciak”. Słyszac to słowo, Jane znieruchomiła.

— Wasz świadek to dziecko?

— Ma jakieś trzynaście, czternaście lat. Tylko on ocalał.

— Co się stało?

Usłyszała w tle inne głosy: staccato rozmów funkcjonariuszy przybyłych na miejsce zbrodni i echa kroków ludzi chodzących po twardej podłodze. Wyobrażała sobie Crowe'a, paradującego w samym centrum wydarzeń z wyprężoną pierśią, wyprostowanymi ramionami i hollywoodzką fryzurą.

— Mamy tu cholerną jatkę — oznajmił. — Pięć ofiar, w tym troje dzieci. Najmłodsze miało najwyżej osiem lat.

Nie chcę tego oglądać, pomyślała Jane. Nie dzisiaj. Nigdy. Zdołała jednak odpowiedzieć:

— Gdzie jesteś?

— W rezydencji przy Louisburg Square. Pełno tu pieprzonych wozów transmisyjnych, więc pewnie będziesz musiała zaparkować ze dwie przecznice dalej.

Zamrugła ze zdziwienia.

— To się stało na Beacon Hill?

— Tak. Nawet bogacze umierają.

— Kim są ofiary?

— Bernard i Cecilia Ackermanowie, pięćdziesiąt i czterydzieści osiem lat. I ich trzy adoptowane córki.

— A chłopak, który ocalał, był ich synem?

— Nie. Nazywa się Teddy Clock. Mieszkał z Ackermanami od dwóch lat.

— Mieszkał z nimi? Był ich krewnym?

— Nie — odparł Crowe. — Adoptowanym dzieckiem.